

**Forum
Rocznika**

Guillaume Parmentier*

ZAANGAŻOWANIE MIĘDZYNARODOWE STANÓW ZJEDNOCZONYCH: JAKIE PERSPEKTYWY?

Bez żadnych wątpliwości Stany Zjednoczone tworzą jądro międzynarodowego systemu powstałego po upadku muru berlińskiego i rozpadzie Związku Radzieckiego. Już w okresie zimnej wojny „Rzeczpospolita Amerykańska” znajdowała się w centrum tego systemu tworząc – wraz ze Związkiem Radzieckim – jego oś. Reszta świata plasowała się na różnych poziomach „peryferyjnego układu” gry międzynarodowej. Funkcjonowanie owego dwubiegunowego systemu wyznaczały stosunki między jego dwoma podstawowymi elementami, na których cieniem kładła się groźba wojny nuklearnej.

Dzisiaj sytuacja jest jeszcze bardziej nierówna. Stany Zjednoczone tworzą samodzielnie centrum systemu międzynarodowego. Niewiele kwestii międzynarodowych znajduje rozwiązanie bez ich wsparcia lub przynajmniej ich *nihil obstat*. Sytuacja na Bliskim Wschodzie, gdzie polityka zagraniczna, a czasami nawet polityka wewnętrzna USA dyktuje tempo negocjacji, jest tego wyraźnym i nie jedynym przykładem. W kategoriach czystej siły Stany Zjednoczone nie mają żadnego odpowiednika w dzisiejszym świecie: są one *primus inter pares* w dziedzinie gospodarczej, w której za ich konkurentów można uznać Europę jako całość, a w wąskich i nielicznych sektorach trafiają na konkurencją poważną, choć o nie mającą tak globalnego charakteru.

Sytuację tę jednak równoważą inne atrybuty potęgi USA, pod względem których naród amerykański nie ma żadnego partnera i odpowiednika. Należy do nich potęga wojskowa Stanów Zjednoczonych – potrzeba wiele czasu, aby pojawiła się chociażby możliwość konkurencji w tej sferze. Amerykańskie seriale telewizyjne i filmy zdominowały rynek międzynarodowy; są one oglądane i lubiane nawet w takich miejscach globu, w których warunki życia codziennego i poziom kulturalny nie pozwalają na ich pełny odbiór i zrozumienie. Co się tyczy kultury wysokiej, to rynek sztuki jest zdominowany przez Nowy Jork, amerykańska literatura i sztuka zaś wzbudza fascynację w sferach literacko-artystycznych całego świata, choć niekiedy towarzyszy jej wprawdzie odrzucenie.

W zakresie polityki zagranicznej sformułowanie Madeleine Albright „naród niezbędny” czy „hipermocarstwo” Huberta Védrina wskazują wyraźnie, że Stany

* Guillaume Parmentier jest szefem francuskiego Centrum Stanów Zjednoczonych w IFRI i profesorem na Uniwersytecie Paryż-II.

Zjednoczone – niezależnie od punktu wyjścia przeprowadzonej analizy – odgrywają we współczesnej społeczności międzynarodowej podstawową rolę w najpełniejszym znaczeniu tego słowa.

Tymczasem odpowiedź na pytanie o zasięg zaangażowania międzynarodowego USA w przyszłości nie daje powodów do zadowolenia. Odpowiedź ta jednocześnie wskazuje kierunek ewolucji systemu międzynarodowego. Jej poszukiwanie przywołuje dwa konkurencyjne, ale uzupełniające się stwierdzenia, tj. M. Albright i – znaczenie bardziej trafne – H. Vedrina. Jeżeli uznano Stany Zjednoczone za niezbędne, to tylko dlatego, że ich interwencja nie była zawsze pewna. Określenie ich hipermocarstwem znajduje swoje wytłumaczenie także jedynie w braku pewności, czy USA użyją swojej siły. W przeciwnym wypadku Stany Zjednoczone okazałyby się klasycznym imperium, a my nie zastanawialibyśmy się nad granicami jego aktywności.

Refleksje nad rolą Stanów Zjednoczonych implikują zatem postawienie co najmniej dwóch pytań:

1. Czy Stany Zjednoczone pozostaną nadal zaangażowane w świecie?
2. Jaką formę przyjmie ich zaangażowanie międzynarodowe?

Odpowiadając na pierwsze pytanie, należy przypomnieć krótko, że konstytucja amerykańska w zamierzeniach jej twórców miała zapobiec koncentracji instrumentów politycznych – w tym polityki zagranicznej – w ramach jednej władzy, gdyż obawiano się bezprawia i wynikających stąd nadużyć. Jednocześnie zdawano sobie sprawę, że polityka zagraniczna łączy w sobie jedność decyzji, co nie pozostaje w harmonii z planowanym podziałem władzy. W znacznym stopniu właśnie z tego powodu Thomas Jefferson ostrzegał Amerykanów – w swojej słynnej formule – przed „wciągającymi sojuszami”. W czasie wojen, w tym podczas „prawie-wojny” (*la proto-guerre*), jaką była zimna wojna, prezydent i dowódca sił zbrojnych cieszyli się pewną szczególną swobodą działania, która w znacznym stopniu odwoływała się – pod względem okoliczności – do modelu republiki rzymskiej, w pełni akceptowanego przez obie izby Kongresu. Tymczasem zimna wojna stanowiła wyjątek, ponieważ odstraszenie nuklearne, które wyznaczało jej ramy, pociągało za sobą ewentualność podjęcia ostatecznej decyzji przez jedną osobę, którą w Stanach Zjednoczonych mógł być tylko prezydent¹. Stąd wywodzi się koncentracja władzy w dziedzinie polityki zagranicznej i obrony, która wydaje się anomalią w kontekście całokształtu amerykańskiej historii.

Cecha ta zniknęła oczywiście w nowym, pozimnowojennym systemie, charakteryzującym się niepewnością wyzwań i dobitniej akcentowaną dominacją amerykańską. Stany Zjednoczone, państwo-kontynent, mogą żyć, skupiając się w znacznym stopniu wyłącznie na sobie. Nie popadając w izolacjonizm, mogą traktować resztę świata z pewnym dystansem i układać z nią swoje stosunki „doraźnie”. Stąd bierze się dobrze znana skłonność Amerykanów do pomijania czy też

¹ G. Parmentier, *Politique intérieure et politique étrangère aux Etats-Unis: la parenthèse du XXème siècle?*, „Politique Etrangère”, automne-hiver 2000, s. 743–756.

bagatelizowania problemów międzynarodowych. Przegląd tytułów liczącej się prasy amerykańskiej – w szczególności spoza Wschodniego Wybrzeża – wyraźnie tego dowodzi. „Rzeczpospolita amerykańska” została powołana do tego, aby zapewniać jej mieszkańcom rzecz dla nich najważniejszą, tj. dobrobyt. Wymiar międzynarodowy bardzo rzadko pojawia się w świadomości narodu amerykańskiego i to nie z powodu poczucia wyższości, ale raczej z braku wiedzy oraz z przekonania o samowystarczalności państwa. Czynniki te mają bardzo silny wpływ na decyzje w sferze polityki zagranicznej. Presja polityki wewnętrznej, zmieniająca się pod naciskiem grup interesów prywatnych (określanych w amerykańskim języku politycznym mianem *lobbies*) jest znacznie silniejsza niż presja wywierana potrzebą prowadzenia spójnej i skutecznej polityki zagranicznej². Uwarunkowanie to występuje we wszystkich państwach demokratycznych, ale natura amerykańskiego ustroju politycznego wyposaża je w dodatkową siłę. Stanowi o tym niezależność, jaką system prezydencki zapewnia władzy ustawodawczej, oraz słabość zorganizowanych stronnictw w izbach Kongresu, wywołana brakiem odpowiedzialności rządu przed władzą ustawodawczą, co wzmacnia indywidualizm parlamentarzystów. Mechanizm ten zadziałał m.in. w sprawie amerykańskich składek dla ONZ, która odegrała rolę zakładnika dla grup przeciwnych finansowaniu np. planowania rodzinnego poza granicami USA³.

Naciski wewnętrzne nieuchronnie tworzą wrażenie braku ciągłości polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, niejednokrotnie przesadzone, jeśli przyjrzeć się faktom. W rzeczywistości polityka zagraniczna przyjęta i realizowana przez sprawujących władzę w Stanach Zjednoczonych pozostaje stała; jest inspirowana uprawnioną troską o obronę interesu narodowego. Zdarza się jednak często, że na realizację tejże polityki jest wpływają problemy polityki wewnętrznej, co czyni ją mniej czytelną i zrozumiałą dla zagranicy. Z drugiej strony, definicja interesu narodowego nie jest oczywista dla narodu, którego możliwości wojskowe i gospodarcze nie mają granic. Nie jest też sprawą przypadku, że granice działań podejmowanych przez USA na scenie międzynarodowej są wytyczane przez sprawy ich polityki wewnętrznej. W związku z powyższym amerykańska polityka zagraniczna jest trudno przewidywalna dla świata zewnętrznego. Z tym także wiążą się liczne pytania o zdolność pełnienia przez Amerykanów przywództwa. W istocie zasadniczą kwestią pozostaje raczej rodzaj przywództwa, którego Stany Zjednoczone są gotowe się podjąć⁴.

Czy chodzi tu o przywództwo typu Wilsona, zainspirowane w znacznym stopniu przez idealistyczną koncepcję stosunków międzynarodowych i mającą na celu przekształcenie świata na podobieństwo Stanów Zjednoczonych, tak jak są one postrzegane przez samych Amerykanów?

² Szerzej patrz: H. Smith: *The power Game: How Washington Works*, Ballantine Books, New York 1988, s. 566–596.

³ S. Sloan, M. Locke, C.A. Yost, *The Foreign Policy Struggle: Congress and the President in the 1990s and Beyond*, Institute for the Study of Diplomacy, Georgetown University, Washington DC, 2000.

⁴ R.N. Haass, *The Reluctant Sheriff: the United States After the Cold War*, Council on Foreign Relations, New York 1997.

Czy też przeciwnie, chodzi o przywództwo typu Hamiltona, w stylu Henry'ego Kissingera, inspirowane realistyczną koncepcją amerykańskiego interesu narodowego? W tym przypadku jednak przy uwzględnieniu ogromu zasobów kraju, rodzi się pytanie, kto będzie decydował o zakresie interesu narodowego?

A być może będziemy świadkami tworzenia przywództwa typu Jacksona, gotowego do regulowania kwestii międzynarodowych za pomocą klasycznych środków mocarstwowych, ale w imię zasad ustalanych jednostronnie przez „Rzeczpospolitą Amerykańską”⁵?

Innymi słowy, w jaki sposób Stany Zjednoczone wywiążą się ze swojej odpowiedzialności w świecie, w którym ich rola jest z jednej strony doniosła, a z drugiej brakuje pewności co do sposobu jej realizacji?

Na wszystkie te pytania nie ma definitywnej odpowiedzi. Z pewnością świat będzie je sobie stawiał jeszcze długo, ponieważ w najbliższej przyszłości, po pierwsze, nie nastąpi kres dominującego wpływu Stanów Zjednoczonych na losy świata, i po drugie, amerykański system polityczny nie zwiększy stopnia przewidywalności interwencjonizmu USA. W każdym razie, wskazane byłoby, aby państwa europejskie śledziły z uwagą perspektywy zaangażowania Stanów Zjednoczonych na naszym kontynencie.



Nikt obecnie nie podważa konieczności amerykańskiej obecności w Europie, niezależnie od tego, w jak bardzo karykaturalny sposób przedstawiana była polityka zagraniczna różnych państw, w tym zwłaszcza francuska. Potrzeba taka wynika z faktu, iż łatwiej jest państwu europejskim zbliżyć się, współpracować i tworzyć wspólnie porozumienia polityczne i wojskowe, gdy Stany Zjednoczone przez swoją obecność zmniejszają obawy małych państw europejskich, zaniepokojonych tym, że ich bezpieczeństwo mogłoby zostać nadmiernie zdeterminowane w drodze porozumienia między ich silniejszymi partnerami europejskimi. Nawet pobieżna lektura historii Europy pozwala zrozumieć, że większość państw europejskich powstała wbrew hegemonistycznym dążeniom silniejszych sąsiadów. W świadomości wielu Europejczyków zakorzeniona jest więc wola uniknięcia koalicji silnych przeciwko słabszym partnerom. Próba odepchnięcia Stanów Zjednoczonych oznaczałaby zatem utratę ich poparcia dla trudnego przedsięwzięcia, jakim jest nadanie realnych kształtów politycznemu i wojskowemu wymiarowi integracji europejskiej. Paradoksalnie, zamierzenie to wymaga w pewnym sensie wsparcia wynikającego z amerykańskiej obecności w Europie: te dwa cele nie pozostają w sprzeczności, lecz wspierają się wzajemnie.

W rzeczywistości to Stany Zjednoczone najsilniej domagają się owego wycofania lub przynajmniej ograniczenia ich zaangażowania w sprawy europejskie,

⁵ C. Maynes, *The Perils of (and for) an Imperial America*, „Foreign Policy”, automne 1998, s. 36–48; (w:) R. Mead: *The Jacksonian Tradition, National Interest*, Winter 1999–2000.

szczególnie w sprawie bezpieczeństwa Europy. Nie identyfikując się ze stanowiskiem neo-izolacjonistycznym Instytutu Cato, wielu Amerykanów uważa, że rozwiązanie Układu Warszawskiego i rozpad Związku Radzieckiego przemawiają za wybiórczym zaangażowaniem Stanów Zjednoczonych w rozwiązanie problemów bezpieczeństwa europejskiego⁶. Dobrym tego przykładem jest postawa pierwszej administracji Busha i administracji Clintona wobec byłej Jugosławii do roku 1995⁷. Demonstracyjne niedomówienia ze strony George'a Busha, jeszcze kandydata na prezydenta USA, i jego doradcy, pani Rice, pokazują, że Stany Zjednoczone zamierzają utrzymać przynajmniej większy niż w przeszłości margines swobody wobec angażowania oddziałów amerykańskich w operacjach utrzymania pokoju w Europie, które nie cieszą się zbytnią popularnością wśród amerykańskich żołnierzy.

Niemniej jednak Stany Zjednoczone nie mogą przestać się interesować Europą. Powodem tego jest nie tylko fakt, iż Europa stanowi największy rynek zbytu dla USA, ale także i to, że osłabienie amerykańskiej obecności w Europie, a tym bardziej całkowite wycofanie się z tego obszaru, wpłynęłoby znacząco na ich pozycję międzynarodową. Ujmując to precyzyjnie, Stany Zjednoczone, państwo-kontynent, chcące odgrywać istotną rolę na scenie międzynarodowej, nie mogą przestać oddziaływać na inne części globu, choć wpływ ten nie musi mieć koniecznie i wyłącznie wojskowego charakteru. Taka jest właśnie lekcja XX wieku: samopowstrzymanie się Stanów Zjednoczonych spycha je na margines, podczas gdy ich obecność czyni je niezbędnymi. Wyjaśnia to kontrast istniejący pomiędzy okresem poprzedzającym i następującym po roku 1941. Europa z pewnością nie jest jedynym regionem, w którym zaangażowanie USA okazało pożyteczne. Pod względem polityczno-wojskowym nie jest to także obecnie region o największym znaczeniu, mimo, iż nadal pozostaje istotny. Problemy bezpieczeństwa w Europie zostały już w znaczącej części rozwiązane, zaś raczej ograniczony zasięg ewentualnych konfliktów nie wymusza amerykańskiego uczestnictwa: z wyjątkiem zagrożenia rozpadem porozumienia transatlantyckiego, nie jest pewne, czy Stany Zjednoczone byłyby niezbędne dla rozwiązania tych problemów.

Pytanie o amerykańską obecność w Europie musi być stawiane w znacznie szerszym kontekście. Europa jest głównym partnerem Stanów Zjednoczonych przede wszystkim w wymiarze ekonomicznym. Tak więc to Europa i USA, transatlantyccy sojusznicy, dysponują środkami umożliwiającymi zapobieganie kryzysom oraz „zarządzanie” gospodarką międzynarodową. Z pewnością inni aktorzy odgrywają i będą odgrywać w przyszłości istotną rolę w tym procesie, niemniej zasady gry mogą i powinny być przedmiotem porozumień transatlantyckich. Cykl rundy urugwajskiej GATT stanowi tego dobry przykład. Niepowodzenie spotkania Światowej Organizacji Handlu w Seattle *a contrario*

⁶ S. Kull, I.M. Destler, *Misreading the Public, the Myth of a New Isolationism*, Brookings Institution Press, 1999, and John Rielly (red.), *American Public Opinion and US Foreign Policy*, Chicago Council of Foreign Relations, 1999.

⁷ R.C. Holbrooke, *To End A War*, Random House, New York 1998.

potwierdza zjawisko. W tej dziedzinie amerykańska obecność w Europie, tj. ich wsparcie i zainteresowanie tym, co dzieje się na kontynencie, stanowi niewątpliwie czynnik równowagi międzynarodowej. Od Amerykanów wymaga to gotowości do słuchania Europejczyków oraz uwzględniania ich uprawnionych żądań, jak również rozumienia ograniczeń politycznych, w ramach których działają niektórzy przywódcy. Z kolei Europejczyków sytuacja ta zmusza do przyjęcia postawy pozytywnej umożliwiającej ustanowienie reguł określających stosunki gospodarcze i handlowe akceptowanych przez głównych aktorów międzynarodowych. Zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w tej sferze jest tak duże, że trudno sobie wyobrazić decyzję o ich wycofaniu się ze spraw europejskich, gdyż byłaby ona dalece sprzeczna z ich interesami. W historii nie znajdziemy zbyt wielu przykładów decyzji podejmowanych przez państwa wbrew ich własnym interesom. Czujne zaangażowanie jest zatem wymagane od obu stron transatlantyckiego partnerstwa.

Z amerykańskiego punktu widzenia potrzeba ta nie ogranicza się do zwykłej obecności przy stole negocjacyjnym w Europie. Amerykanie potrzebują partnera na ich miarę, aby dzielić się z nim częścią odpowiedzialności międzynarodowej, na której przyjęcie zgodzą się chętniej, jeśli nie będą musieli sami jej ponosić. Amerykański system polityczny nakłania przywódców do przyjmowania postawy oscylującej pomiędzy maksymalnie posuniętą ostrożnością przed zaciąganiem zobowiązań międzynarodowych a nagłym zaangażowaniem się w pewne problemy w celu ich szybkiego i sprawnego rozwiązania. Kongres, pomijając jego kłopoty w ułożeniu stosunków z administracją byłego prezydenta B. Clintona, odgrywa coraz ważniejszą rolę w określaniu polityki zagranicznej i obronnej Stanów Zjednoczonych, co pozostaje w zgodzie z tradycyjną interpretacją konstytucji. Tak więc racje polityki wewnętrznej wpływają obecnie na amerykańskie stanowisko w kwestiach międzynarodowych w znacznie większym stopniu niż w okresie zimnej wojny⁸. Amerykanom obawiającym się międzynarodowego wpływu na ich kraj konieczna wydaje się, aby względy wewnętrzne mogły być równoważone przez zewnętrznego partnera, dającego Stanom Zjednoczonym komfort w pełnieniu przez nie funkcji stabilizatora sceny światowej. Z tego punktu widzenia argument rozwinięty przez ekspertów Rand Corporation w ich książce *America and Europe: A Partnership for A New Era*⁹ mierza we właściwym kierunku, nawet jeśli proponowanie Europejczykom udziału w wyprawach wojskowych do Korei lub w tajwańskiej cieśninie Formozy nie było konieczne. Istnienie takiego partnera zwiększyłoby prawdopodobieństwo, że w razie potrzeby Stany Zjednoczone przyjmą postawę konstruktywną, przy czym aby okazać się skuteczne, zrobią to stosunkowo szybko. Jak podkreślają autorzy wspomnianej książki, we współczesnym świecie tylko Europa, albo pewne państwa europejskie indywidualnie lub w koalicji, mogłaby odegrać rolę takiego partnera dla USA. Nawet bez

⁸ R.B. Zoelick, *Congress and the Making of Foreign Policy*, „Survival”, 41 nr 4 Winter 1999–2000.

⁹ D.C. Gompert, F.S. Larrabee (red.), *America and Europe: A Partnership for A New Era*, Cambridge, Cambridge University Press, 1997.

wyliczania państw lub grup państw zdolnych odegrać tę rolę, widać wyraźnie, że Europa w tej dziedzinie dzierży prawdziwy monopol.

Oczywiście, partner ten, na czym polega sens polityki państw Unii Europejskiej deklarowanej od początku lat 90., byłby znacznie bardziej skuteczny, gdyby opierał się na potencjale zgromadzonym przez państwa Unii. Ponadto porozumienie polityczne nie powinno ograniczać się tylko do najmniejszego wspólnego mianownika, uniemożliwiającego stworzenie podstawy do prowadzenia działań i tym samym blokującego także indywidualne działanie państw. W takich właśnie ramach mieści się zamiar utworzenia Europy-mocarstwa, głoszony od wielu lat przez Francję i jej partnerów. Pozostając dalekim od rywalizacji ze Stanami Zjednoczonymi, ten wyłaniający się podmiot będzie ich najbliższym partnerem predestynowanym do tego, aby odciągać „Rzeczpospolitą Amerykańską” od zamykania się w sobie i działań jednostronnych, które są dwoma przejawami tej samej skłonności.

IP!(ddEuropejski partner Ameryki musi zyskać tożsamość, która pozwoli mu istnieć na scenie międzynarodowej, być uznawanym przez resztę świata i działać, gdy zajdzie taka potrzeba. Taki jest niepodważalny sens powołania przez Europejczyków Unii, nawet jeśli to określenie bardziej odnosi się do ich nadziei niż do stanu aktualnego. Jak zwykle w dziedzinie konstrukcji europejskiej, koncepcja wyprzedziła rzeczywistość, ustanawiając cel do osiągnięcia będący dla Europejczyków sprawą godności. Nie należy chępić się wspólnym przeznaczeniem, jak czyni się to w traktatach europejskich, i twierdzić, iż tworzy się wspólnotę, nie wyposażając jej przy tym w jej własne instrumenty bezpieczeństwa i – jeśli to potrzebne – obrony. Z punktu widzenia stosunków transatlantyckich faktu, że bezpieczeństwo ponad 300 milionów bogatych Europejczyków, posiadających imponujące zasoby materialne, zależy od 280 milionów Amerykanów będących na porównywalnym poziomie bogactwa, nie można uznać za naturalny. Sojusz pomiędzy dwoma brzegami Atlantyku jest koniecznością, jest owocem wspólnego doświadczenia i wspólnej cywilizacji.

Zależność jest rezultatem przyzwyczajzeń odziedziczonych po okresie – szczęśliwie już zakończonym – zdeterminowanym aneksją połowy Europy przez Związek Radziecki. Owa zależność jest zjawiskiem tak mało naturalnym we współczesnym świecie, że w sposób nieunikniony pociąga za sobą zbędne odczucia i urazy. Żaloszne dyskusje transatlantyckie na temat podziału ciężaru kosztów NATO (*burden-sharing*) są tego zbyt częstą ilustracją. Sojusz, z którym jesteśmy związani, nie mógłby przetrwać, gdyby Amerykanie bezustannie wypominali Europejczykom brak podejmowania wysiłków w dziedzinie wojskowej, odmawiając im jednocześnie przyjęcia odpowiedzialności idącej w parze z większym potencjałem, zaś Europejczycy obwiniali by Amerykę o niewłączanie ich do procesu decyzji, utrzymując jednocześnie swoją od nich zależność i odmawiając realizacji inwestycji i zmiany przyzwyczajzeń niezbędnych dla większej skuteczności. Fiasko obiecujących perspektyw z lat 1995–1997 pokazuje, jak trudne jest wyjście z błędnego koła w tej dziedzinie, jak silny jest konserwatyzm struktur, przede wszystkim wojskowych i międzynarodowych.

Odnowiony Sojusz jest więc koniecznością. Nie wystarczyło stwierdzenie, że stworzenie prawdziwej tożsamości europejskiej jest niezbędne dla skompletowania struktur bezpieczeństwa europejskiego. Nie chodzi przy tym ani o zastąpienie państw-narodów (*Etats-nations*), które są kośćcem demokratycznej legitymizacji demokratycznej, ani też o zastąpienie Sojuszu Atlantyckiego, który daje stałe ramy dla prowadzenia konsultacji transatlantyckich i dysponuje instrumentami wojskowymi. Niezbędne są natomiast zmiany w samym sojuszu, które umożliwią skuteczniejszą realizację jego roli w rozwiązywaniu kryzysów. Oznacza to lepszą polityczną kontrolę, przy użyciu mechanizmów polityczno-wojskowych, nad dowództwem wojskowym sojuszu. Ze względu na brak miejsca na wchodzenie w szczegóły dotyczące tej kwestii zainteresowanych odsyłam do innych publikacji¹⁰. Przy tej okazji należy także wspomnieć, że zmiany owe należy tak przeprowadzić, by amerykańską dominację organizacji wojskowej stopniowo zastępował podział pracy odzwierciedlający w większym stopniu realia stosunków transatlantyckich we wszystkich ich wymiarach.

Sojusz Atlantycki nie jest skądinąd jedyną organizacją, która powinna ewoluować. Unia Europejska musi wyposażyć się w sprawnie funkcjonujący mechanizm podejmowania decyzji, czego nie można powiedzieć o istniejącym w chwili obecnej. Spełnienie tego warunku jest konieczne, aby UE mogła stać się politycznym partnerem Stanów Zjednoczonych. System prezydencji zmieniającej się co sześć miesięcy, trójka państw przewodniczących Unii, określona w sposób niewystarczający rola i skład Komisji, współzawodnictwo między Wysokim Przedstawicielem i Komisarzem ds. stosunków zewnętrznych – wszystko to nie działa sprawnie i wymaga zmian zwiększających skuteczność instytucji w tej sferze. Europejczycy, zamiast gubić się w swarach o szczegóły, powinni skoncentrować się poważnie i szybko na tych elementach, które pozwolą efektywnie realizować ich ambicje stania się poważnym aktorem sceny międzynarodowej, dysponującym przecież wielkim potencjałem.

Na tych raz ustanowionych podstawach, może i powinno zostać zawarte nowe porozumienie transatlantyckie, które w przyszłości pozwoli stosunkom euro-amerykańskim odgrywać kluczową rolę w służbie stabilności europejskiej i międzynarodowej.

Paryż, w lutym 2001 r.

¹⁰ G. Parmentier, *Redressing NATO's Imbalances*, „Survival, 42”, nr 2, Summer 2000.